

Bajki na dobranoc i nie tylko

Czemu dzieci muszą nosić kapcie

Nie wszyscy wiedzą, że w domach żyją różne rodzaje stworzonek. Mieszkają w szafach, pod telewizorem, za lodówką i pod dywanami. Pełno ich pod kanapą i za tapczanem. Opowiem wam o nich, tylko posłuchajcie.

Najbardziej popularne i najsympatyczniejsze z domowych żyjatek to kurzawki. Wyglądają jak niewielkie puchate kłębki kurzu, przewracające się bez celu po podłodze. Tak naprawdę jednak to tchórzliwe malutkie stworzonka. Nie mają oczu, są zupełnie ślepe. Zjadają kawałeczki kurzu, psią lub kocią sierść, nitki, które odpadły od skarpet a także okruszki. Obżerając się takimi smakołykami stają się coraz grubsze i coraz większe. W końcu są już takie duże, że stają się odważne i przestają bać się światła. Wychodzą wtedy spod tapczanów, zza telewizorów i szaf i zaczynają zwiedzać mieszkanie. Najchętniej przyczepiają się do kapci i podróżują sobie wtedy jak autobusem po wszystkich pokojach, odwiedzając się nawzajem i poznając okolicę. Największym wrogiem kurzawek jest odkurzacz. Mama czasami bierze tego potwora, jakim dla kurzawek jest właśnie odkurzacz i poluje nim na kurzawki. Odkurzacz wciąga je do swojego brzucha, którym jest papierowy worek. Kurzawkom jest tam za ciasno i za gorąco. Poza tym odkurzacz strasznie burczy i hałasuje a kurzawki lubią ciszę i spokój. Kiedy wreszcie mama wyrzuca kurzawki z odkurzacza są bardzo szczęśliwe. Niestety, mama nie pozwala im już chodzić sobie po mieszkaniu i wyrzuca je na śmietnik. Kurzawki jadą sobie wtedy ze śmieciami na wysypisko i żyją tam sobie całkiem dobrze. Nie jest im tak ciepło i fajnie jak w mieszkaniu, ale nie jest im tam źle.

W szparach podłogi, w szafach oraz w telewizorach żyją inne małe potworki. Nazywają się trzaskacze. Wyglądają jak malutkie sprężynki. Najczęściej siedzą sobie spokojnie, nic nie robią tylko patrzą swoim jednym malutkim oczkiem na świat. Czasami jednak bardzo się nudzą. Wtedy zbierają się w sobie i napinają całe sprężynkowate ciało. Napinają i napinają aż wreszcie są tak napięte, że bardziej już nie mogą. Wtedy nagle przestają się napinać a w mieszkaniu rozlega się trzask. Takie głośne lub ciche – bum!. Trzaskacz, który sobie właśnie trzasnął, zaczyna wtedy nasłuchiwać, czy w mieszkaniu jest jakiś inny trzaskacz. Jeżeli jest, to i on wkrótce zrobi trzask! Bo trzaskacze lubią ze sobą rozmawiać właśnie takimi krótkimi trzaskami. A ponieważ są dosyć głupie, to nie mają sobie dużo do powiedzenia – trzask! Trzask! I już. Po całej rozmowie.

Czasami słysząc jak trzaskacze nawołują się po mieszkaniu. Potrafią wtedy trzasnąć tak głośno, że słysząc je w drugim pokoju. Najczęściej robią to nocą, bo wtedy jest cicho i wszystkie dźwięki słysząc głośno i wyraźnie. Jak usłyszycie w nocy jakiś trzask w waszym pokoju – nie bójcie się. To tylko trzaskacz, któremu bardzo się nudzi, próbuje sobie pogadać z innym trzaskaczem. To wszystko.

Kolejnym z małych stworzonek żyjących w mieszkaniach jest zimniawka. Dawno temu nie było w naszym kraju zimniawek, ale ponad sto lat temu słynny podróżnik Remigiusz Maślaczek znalazł je w domu jednego Eskimosa, u którego mieszkał. Przywiózł je w słoiku po ogórkach z dalekiej podróży do krainy śniegu i lodu. Zimniawki przegryzły pokrywkę od słoika i uciekły podróżnikowi. Rozlażyły się po całym kraju i rozmnożyły bardzo. Teraz można znaleźć je właściwie w każdym mieszkaniu, najczęściej w łazience. Wyglądają jak malutkie niebieskie kuleczki. Są bardzo okrągłe i bardzo niebieskie. Siedzą sobie za płytkami glazury na ścianie i terakoty na podłodze. Nie są wcale groźne. Tak naprawdę to lubią ludzi i zwierzęta, takie jak psy i koty. Żywią się ciepłem. Po prostu uwielbiają ciepło. Gdy tylko stawiacie bosą stopę na podłodze w łazience, wszystkie zimniawki z całej łazienki toczą się szybko pod podłogą i przywierają do miejsca, w którym dotykacie nogą podłogi. I zaczynają ssać ciepło z waszej stopy. Dlatego czujecie zimno w stopie. Bo zimniawki zabierają wam ciepło. Dotknijcie ściany w łazience ręką. A wtedy część zimniawek szybciej podtoczy się pod waszą dłoń i zacznie wysysać z niej ciepło. Zimniawki nie lubią różnego rodzaju ubrań i materiałów. Włoski ze skarpet i dywanów łaskoczą je bardzo a zimniawki nie lubią łaskotania. Dlatego gdy założycie kapcie, a nawet tylko skarpetki, zimniawki nie podtoczą się pod wasze nogi. Wypróbujcie.

Jedynym groźnym stworzonkiem, które żyje w naszych domach jest szczypawka. Szczypawki wyglądają jak niewielkie jaszczurki, takie malutkie krokodylki. Są zielone, mają dwoje oczu i malutką, ale bardzo zębatą paszczę. Paszcza jest taka malutka jak najmniejszy guziczek w pilocie od telewizora. Ale szczypawka potrafi swoją paszczą uszczypnąć w stopę. Może i nie boli to zbyt mocno, ale na pewno przyjemne to to nie jest. Najbardziej lubi szczypać w duży palec, bo akurat ten palec najlepiej jej smakuje. Szczypawki żyją w łazienkach. Chowają się pod wanną albo pod kabiną prysznicową. Nie lubią wody, więc nigdy, ale to przenigdy nie wejdą do wanny czy pod prysznic. Gdyby szczypawka weszła do wody, natychmiast rozpuściłaby się, jak cukier w herbacie. Więc unikają wody starannie. Ale gdy tylko dziecko albo dorosły wejdzie boso do łazienki szczypawka zaczyna czaić się. Czai się i czai, cały czas. Obserwuje nasze bose stopy uważnie, z całych sił. I wreszcie, gdy tylko podejdziemy bliżej szczypawka wyskakuje z ukrycia i szczypie w wielki paluch u nogi. Niezbyt mocno, bo paszczę ma malutką. W ogóle cała jest malutka, jak zapalka. Zawsze to jednak trochę boli, więc nikt nie lubi jak go szczypawka uszczypnie. Jedynym sposobem uniknięcia szczypawki jest noszenie kapci. Bo szczypawki oprócz wody strasznie nie lubią kapci. Kapcie mają malutkie włoski i te włoski drażnią bardzo szczypawki. Włoski włożą do nosa i do paszczy szczypawki i łaskoczą ją. Szczypawka zaczyna straszliwie kichać i smarkać. A bardzo, bardzo tego nie lubi. Więc gdy tylko widzi kapcie od razu ucieka. Chowa się w najdalszej części swojej kryjówki. I nie chce stamtąd wychodzić. Dlatego dzieciaki, w łazience, a najlepiej w całym domu, noście kapcie lub chociaż skarpetki. Wtedy żadna szczypawka nawet się do was nie zbliży. Słowo!

Dlaczego czekolada jest zawijana w sreberka

Dawno dawno temu, za siedmioma górami i siedmioma macdonaldami żył sobie bardzo bardzo gruby król. Ważył chyba z trzysta kilogramów, miał brzuch jak balon a tyłek wielki jak kanapa. Od dawna już nie mieścił się na tronie i w sali tronowej siadał na specjalnej ozdobnej wersalce. Trzeba było stalowymi podporami wzmocnić balkon, na który wychodził w niedzielę król bo by się balkon zawalił. Sedes w ubikacji wykonany był ze wzmocnionego betonu a wanna przypominała mały basen. Król był gruby przerażliwie. Nawet swojej żony, która była całkiem ładną i szczupłą osobą, nie przytulał do siebie bo bał się

że zgniecie ją na placek swoimi wielkimi i grubymi łapami.

Przyczyną jego otyłości była ogromna miłość. Miłość króla do słodczy. Zjadał ich codziennie kilka kilogramów, a w szczególności upodobał sobie czekoladę. Uwielbiał czekoladę z orzechami, nadziewaną czekoladę kremem truskawkowym, czekoladę z bakaliami, czekoladę o smaku pomarańczowym, czekoladę bananową i wszystkie inne czekolady też. Po prostu zażerał się czekoladą. Zęby miał w tak fatalnym stanie, że w buzi właściwie już ich prawie nie miał. Został w niej tylko sam fatalny stan. Cierpiał przez to ale bał się iść do dentysty a i z czekolady nie miał zamiaru zrezygnować. Ponieważ poza swoim strasliwym łakomstwem był całkiem dobrym królem poddani i dworzanie martwili się o niego. Bali się, że umrze na serce bo był taki gruby. Albo że pęknie mu brzuch. W końcu w wielkiej tajemnicy spotkali się w tajnej komnacie marszałek dworu, królewski lekarz i żona króla.

- Trzeba coś zrobić z królem! – stanowczo powiedział lekarz- lada chwila pęknie mu w środku jakaś żyłka i król umrze. Nie będzie można tej żyłki znaleźć w tych zwalach tłuszczu i zalepić plasterkiem. Nic nie będzie można zrobić!
- Nawet przytulić ! – załkała królowa.
- Trzeba by było wziąć króla na dietę! – wpadł na pomysł marszałek dworu.
- Nic z tego. Już próbowaliśmy. Król za pierwszym razem wytrzymał dwie godziny, za drugim trzynaście minut – lekarz pokręcił z rezygnacją głową.
- Pęknieeeee mu żyłkaaaaa! – rozbeczała się królowa na całego. Kochała swojego męża tłuściocha bardzo.
- Nie dopuścimy do tego – Marszałek Dworu miał wspaniały pomysł – nasz kraj nie produkuje słodczy, prawda?- zapytał lekarza.
- Nie, nic słodkiego nie robimy. Wszystko sprowadzamy z sąsiedniego kraju – Wedelandii.
- Więc zakażemy impotu słodczy, zwłaszcza czekolady!
- Zwłaszczaaaa! – nieco ciszej załkała królowa.
- Nie pozwolimy przywozić żadnych czekolad, landrynek, dropsów, galaretek, batonów i ciastek.
- Tak jest – potwierdził lekarz – będzie można wwozić tylko krówki.
- Lekarz bardzo lubił krówki i potajemnie przed wszystkimi kupował sobie codziennie małą paczkę cukierków w sklepie obok pałacu. Potajemnie bo wszyscy wiedzieli, że jedzenie słodczy jest niezdrowe a lekarzowi, zwłaszcza królewskiemu nie wypadało robić nic niezdrowego.
- Żadnych krówek! – Zatrząsł się z oburzenia marszałek dworu – jak żadnych słodczy to i krówek też.
- Tak, żadnych krówek! – zachlipała królowa – ani owieczek, ani świnek! – dodała, bo też chciała coś wymyślić aby ratować króla a nie bardzo wiedziała o co chodzi z tymi krówkami.
- Niech będzie – zgodził się lekarz.
- Rano marszałek dworu napisał specjalny dokument zakazujący przywożenia do kraju słodczy, owiec i świń. Sprytnie podsunął go królowi do podpisu. Król podpisał nie widząc nawet co podpisuje bo od dobrych dwóch lat brzuch zasłaniał mu dokumenty. W południe marszałek ogłosił wolę króla przez radio i telewizję. Król właśnie połykał kolejną tabliczkę czekolady gdy usłyszał to w wiadomościach.
- Jak to?! Kto śmiał zabronić przywożenia czekolady do naszego kraju?! – Zapytał marszałek dworu
- Ty Panie sam podpisałeś taki rozkaz aby małe dzieci nie miały popsutych zębów.
- No tak, dzieci! – Westchnął z rezygnacją król . Ale zaraz poczerwieniał ze złości - Ale ja tak lubię czekoladę! I co ja teraz zrobię? Trzeba natychmiast odwołać ten przepis!
- To nie takie proste Panie – Zaczął kombinować Marszałek Dworu – Teraz już rozkaz został przekazany wszystkim ministerstwom, te przekażą go swoim urzędnikom, ci z kolei tym co pilnują granic i innym urzędnikom. Musimy poczekać, aż rozkaz dotrze do nich wszystkich i dopiero go odwołać bo inaczej zrobi się straaaaszny bałagan.

- -Eeee, coś kręcisz ale niech ci będzie - bałaganu nie lubię! – zgodził król – A ile to potrwa to czekanie na czekoladę?
- - Noooo, ze 4 tygodnie, a może pięć.
- -O rany! – Jęknął król rozdzierająco i zrobił się straszliwie zły. Marszałek Dworu mocno się przestraszył.
- -Ja muszę iść do lekarza bo właśnie bardzo zachorowałem – krzyknął i wybiegł z komnaty.
- Król przelewał się zły na wersalce. Myślał co by tu zrobić aż zawołał swojego zaufanego sługę.
- - Słuchaj mój zaufany sługo – zaczął król – Musisz skombinować trochę czekolady dla mnie.
- - Tak, słyszałem o tym głupim rozkazie w telewizji. Będzie kłopot ze słodyczami. Co Waszą Grubość, oj przepraszam, Wysokość podkusiło z tym zakazem?
- - Brzuch mi zasłonił co podpisuję a ten przebiegły lis, marszałek dworu to wymyślił na pewno do spółki z moim lekarzem. Teraz nie można przywozić słodyczy i kropka. Zanim to odkręcę minie trochę czasu a ja już chcę zjeść sobie trochę czekolady. Mój Zaufany Sługo – od tego jesteś zaufanym sługą aby mi zorganizować czekoladę.
- - Cóż mój panie, trzeba będzie przemycić przez granicę. Da się zrobić.
- I Zaufany Sługa pojechał do Wedelandii aby kupić tam słodycze i przewieźć dla króla. Ale niestety nie było łatwo. Marszałek Dworu wiedział, że król będzie próbował przemycić czekoladę i wydał specjalne polecenie aby urzędnicy na granicach bardzo dokładnie sprawdzali bagaże a nawet kieszenie podróżników. Zaufany Sługa najpierw próbował ukryć czekoladę w wazonie z kwiatami ale nie udało się. Potem schował czekoladę w fotelu, który chciał przywieźć do kraju. Znaleźli. Potem schował w stosie ręczników. Potem w nocniku. Potem w paczce pieluch. Potem w telewizorze. Nic z tego. Wszędzie znajdowali. Dopiero udało mu się w słoiku ogórków kiszonych ale tak śmierdziała ogórkami, że nawet król nie dał rady zjeść tej czekolady. W desperacji zaufany sługa napchał czekolady do spodni, ale się rozpuściła od ciepła i w dodatku spodnie zaufanego sługi wyglądały jakby sługa miał kłopoty z trawieniem.
- Urzędnicy bardzo dokładnie sprawdzali wszystkie schowki, w których mogła być ukryta czekolada. Król schudł bo nie obżerał się słodyczami. Zaczął nawet mieścić się na tronie. Bardzo mu się to spodobało i postanowił schudnąć jeszcze trochę. Tymczasem Zaufany Sługa wciąż próbował przemycić czekoladę przez granicę.
- I wtedy wpadł na znakomity pomysł. Postanowił przywieźć czekoladę jako srebro. Sztabki srebra były bardzo podobnych rozmiarów co tabliczki czekolady. Zaufany Sługa poowijał czekoladę w srebrną folię, którą kupił w fabryce srebrnej folii. Zapakował to wszystko na wóz i tak ukryte słodycze przewiózł bez trudu przez granicę. Urzędnicy obracali w rękach tabliczki, ale nie zorientowali się, że to czekolada a nie srebro. Gdy tylko sługa przyjechał z transportem do stolicy natychmiast pobiegnął do króla.
- - Mój Panie, mam czekoladę, cały wóz czekolady, srebrnej czekolady!
- Król właśnie przymierzał swoje stare spodnie, w które nie mieścił się od czterech lat. Teraz były nawet lekko luźne w pasie – tak schudł.
- -A wiesz, mój Zaufany Sługo, już nie będę się obżerał czekoladą – powiedział Król przeglądając się z zadowoleniem w lustrze. – Schudłem sobie trochę i bardzo mi się to podoba!
- -Ale Panie, co mam zrobić z tą górą czekolady, którą przemyciłem?!
- -Nie wiem, nie obchodzi mnie to zbytnio. Może zjedz, albo nie jedz bo będziesz taki gruby jak ja byłem. To może sprzedaj?
- Zaufany Sługa wrócił zmartwiony do wozu pełnego czekolady. Nie bardzo wiedział co robić. Pojechał wozem na główny rynek w mieście i zaczął wykrzykiwać :
- -Czekolada, czekolada! Supersmaczna, srebrna czekolada prosto z fabryki czekolady!
- Kupujcie, kupujcie i zaraz smakujcie!
- Dzieciaki, które od wielu dni nie jadły czekolady po prostu rzuciły się na słodycze. W ciągu kilku

minut Zaufany Sługa sprzedał cały wóz srebrnych tabliczek. Dzieciaki zjadały czekoladę aż mruczając z rozkoszy. Była to najlepsza czekolada jaką Zaufany Sługa mógł dostać w Wedelandii, bo przecież kupował dla samego Króla.

- Zaufany Sługa wrócił do pałacu i zajął się swoimi sprawami. Rano obudził go telefon. To dzwonił król.

- -Słuchaj, pod moimi oknami stoi tłum dzieciaków, które domagają się jakiejś srebrnej czekolady.

Strasznie wrzeszczą i nie dają mi spać. Ty wczoraj coś mówiłeś o srebrnej czekoladzie, nie?

- -No mówiłem. Ale już sprzedałem wczoraj cały wóz.

- -No to teraz masz im sprzedać znowu taką czekoladę, bo drą się jak wściekłe. Nie chcą żadnej innej, tylko taką w srebrnej folii. Taka podobno smakuje im najbardziej. - powiedział król i odłożył słuchawkę.

- Cóż było robić? Zaufany Sługa pojechał do Wedelandii, kupił wóz czekolady, pozawijał ją w srebrną folię i przywiózł do kraju. Sprzedał cały transport w kilka minut i zarobił sporo pieniędzy. Następnego dnia zrobił tak samo i wkrótce stał się bardzo bogatym człowiekiem. Kupował najlepszą czekoladę w Wedelandii, zawijał ją w sreberka i sprzedawał z niezłym zyskiem. A dzieciaki wiedziały, że najlepsza czekolada sprzedawana jest zawijana w sreberka. Od tego czasu, jeżeli tylko jakiś dzieciak chciał czekoladę, to domagał się, aby była zawinięta w srebrną folię. Gdy wreszcie odwołano głupi rozkaz króla i znowu można było przywozić czekoladę do kraju, wszyscy kupcy kupowali tylko taką zawiniętą w sreberka bo taka była najlepsza. Od tego czasu wszystkie czekolady zawijane są w srebrną folię. Smacznego!

Dlaczego ludzie noszą ubrania

Dawno, dawno temu, gdy po ziemi chodziły jeszcze mamuty – takie wielkie włochate słonie – ludzie mieli długie włosy na całym ciele. Mieli je na głowie, na nogach, na plecach, wszędzie. Włosy chroniły ludzi przed zimnem, tak jak gęsta sierść chroni przed chłodem zwierzęta – psy, koty, szczury i niedźwiedzie. Długie włosy działają jak gruba kołdra. Zatrzymują całe ciepło przy ciele. Ludzie mieszkali wtedy w jaskiniach i dziurach w ziemi – nie było tam kaloryferów ani pieców. Dlatego dbali o swoje włosy, pielęgowali je, aby były jak najdłuższe, aby jak chroniły ciało przed zimnem. Tylko na twarzach strzygli trochę sierść, aby było widać kto jest kim. Bo inaczej za długie włosy na twarzy zasłaniały zupełnie buzię i nie można było poznać, czy ten ktoś jest twoim znajomym, bratem, czy sąsiadem, czy też jest to ktoś zupełnie obcy. Wszystko było dobrze do chwili, aż przyszła straszliwie zimna zima. Zupełnie nie wiadomo czemu była taka zimna, ale była. Było tak zimno, że z księżyca zwisały sople lodu a ludziom zamarały fluki w nosie. Ludzie nie wiedzieli co robić. Mróz szczypał ich w nosy, w oczy i w uszy. Postanowili nie strzyć więc włosów z twarzy. Gęby zarosły im jak dywany. Zapuszczali też gęsty zarost na całym ciele, żeby chociaż trochę było cieplej. No i rzeczywiście, było cieplej. Ale zaczęły się problemy. Na przykład ciocia Jadzia nie poznała na ulicy swojej sąsiadki Elwiry. Bo Elwira miała tak wiele włosów na twarzy, że przypominała szczotkę do zamiatania. A i ciocia Jadzia miała pełno włosów na oczach co nie ułatwiało jej patrzenia. Elwira strasznie się obraziła na ciocię Jadzię, że ta nie powiedziała jej Dzień Dobry!

Innym razem dziadek Michał umówił się z babcią Agnieszką w restauracji na obiad. Gdy przyszedł nie

poznał zupełnie babci Agnieszki, bo babcia miała strasznie gęste włosy na twarzy. Podszedł do zupełnie obcej kobiety i ja pocałował, bo to ona wydawała mu się Agnieszką. Babcia wstała od stolika i przylała dziadkowi parasolką po głowie. Co to znaczy, umówić się z jedną kobietą a przyjąć i całować się z inną? W dodatku dziadek pomyślał, że parasolką zdzielił go jakiś facet, bo babcia miała wyjątkowo dużo włosów na buzi. Odepchnął babcię od siebie. Ta wpadła pupą do talerza z obiadem jakiegoś innego pana. Zrobiła się straszliwa awantura. Ludzie krzyczeli na siebie i popychali się nie tylko w tej restauracji, ale jeszcze i na ulicy. Babcia Agnieszka biegła od człowieka do człowieka i lała wszystkich parasolką po głowach. Chciała jeszcze raz przylać dziadkowi, a nie mogła poznać, który to jest dziadek, więc biła wszystkich.

Takich zdarzeń było strasznie dużo. Ludzie obrażali się na siebie, gniewali się, było mnóstwo pomyłek i złych sytuacji. Nauczyciele nie poznawali uczniów w szkole. Lekarze pacjentów w szpitalu. Sąsiedzie nie poznawali sąsiadów. Wciąż wybuchały kłótnie i awantury. W końcu wszyscy byli pokłóceni ze wszystkimi. Rodzice z dziećmi, dzieci z dziećmi, rodzice między sobą. Było nie do wytrzymania. Katastrofa.

Było aż tak źle, że ludzie postanowili jednak zgolić włosy z twarzy. Tak zrobili, ale straszliwa zima trwała nadal i wciąż było bardzo, bardzo zimno. I wtedy wielki uczony, Maurycy Czapkow wynalazł ochronę głowy. Pierwsze takie urządzenie skonstruował z plastikowego wiaderka po kiszzonej kapuście. W wiaderku wyciął dziury na oczy i założył je sobie na głowę. Było w nim ciepło, ale dalej nie było widać twarzy a na dodatek strasznie śmierdziało kiszona kapusta, więc było do niczego. Wtedy wpadł na genialny pomysł użycia sierści innego zwierzęcia. W jego domu pełno było niedźwiedziej skór, bo w wolnym czasie Maurycy polował na niedźwiedzie. Wyciął więc z futra długi pas i okręcił nim głowę. Zrobiło mu bardzo ciepło a jednocześnie widać było całą twarz. Czapkow bardzo się ucieszył, że wynalazek mu się znakomicie udał i na własną część nazwał go czapką.

Zima nadal trwała. Zanim uczony Czapkow wynalazł czapkę inny uczony, Hieronim Gaciow także pracował nad wynalazkiem, który mógłby ochronić głowę przed zimnem. Gaciow był strasznym zmarzłakiem i w swoim laboratorium rozpałił ogień, żeby było ciepło. Podczas badań niechcący dotknął tyłkiem płomienia i zapalił sobie włosy na pupie. Wrzasnął i zaczął biegać po pokoju z płonącymi włosami na tyłku. Na szczęście w rogu stało wiadro z wodą więc Gaciow szybko usiadł w wiadrze i tak ugasił pożar własnego tyłka. Ale włosy na pupie spaliły się na amen. Gaciow poczuł przeraźliwe zimno. Marzły mu plecy i to miejsce, na którym siadał. Wtedy złapał ręcznik i owinał nim sobie tyłek. Poczuł ciepło. Zrozumiał, że wynalazł spodnie, na jego część nazywane teraz niekiedy gaciami.

Ludzie bardzo się ucieszyli, gdy poznali wynalazki Czapkowskiego i Gaciowskiego. Noszenie czapek i spodni zrobiło się bardzo modne. Wszyscy chcieli je nosić. Zima się skończyła a wszyscy ludzie, zwłaszcza kobiety, które lubią nowinki w modzie, dalej nosili czapki i spodnie. Kobiety przedtem, gdy nie było jeszcze ubrań, często farbowały sobie włosy na ciele, aby wyglądać ciekawiej i bardziej kolorowo niż inne panie. Nie była to najlepsza metoda, bo farba na długo wnikała we włosy a kobiety lubią bardzo często zmieniać swój wygląd. Teraz wreszcie miały okazję. Każda z nich miała kilkanaście czapek i tyle samo różnych spodni w różnych kolorach i w rozmaite wzory. Zmieniały sobie z dnia na dzień ubrania na takie albo na siakie. A to spodnie w kwiatki do czapki w zielone motylki. A to następnego dnia niebieskie spodnie i czerwona czapkę w szare paski. Kiedy jednak zima zmieniła się w wiosnę, noszenie ubrań stało się uciążliwe bo było w nich za gorąco. Ludzie zaczęli więc ścinać resztę włosów z ciała. Najpierw ostrzygli włosy z nóg, potem z pleców, a w końcu, gdy przyszło gorące lato, z ramion i szyi. Dopiero wtedy ludziom nie było za gorąco w spodniach i czapkach. Ale gdy przyszła znowu zima, włosy ludziom nie zdążyły odrosnąć. Musieli natychmiast zadbać o swoje ciepło, a by nie zamarznąć. Czapki i gacie już nie

wystarczały. Pojawiły się kurtki, szaliki, rękawiczki, buty, swetry i inne ubrania. I okazało się, że ludzie już nie potrzebowali włosów. Przed zimnem chroniły ich różne ubrania. A ludzie zobaczyli, że bez sierści są o wiele ładniejsi i zgrabniejsi. Od tego czasu nie dbali o swoją sierść a ona zaczęła zanikać. Teraz wcale już jej prawie nie ma. No i dobrze.

Jak zbudowany jest i jak działa człowiek

Każdy z was mniej więcej wie jak wygląda człowiek. Ma głowę, brzuch, dwie nogi i dwie ręce. Nogi przyczepione są do pupy, ręce do tułowia. Głowa siedzi na szyi, która może się obracać na różne strony. Dzięki temu człowiek może szukać sklepu z lodami albo oglądać bajki w telewizji. Ale mogę się założyć, że nie wiecie jak działa człowiek, co dzieje się w środku brzucha.

Wszyscy wiecie, że człowiek ma w środku kości. Kości to takie sztywne patyki. Kości są w nogach, ramionach, w głowie, nawet w palcach. Oczywiście w nogach są najgrubsze, najbardziej solidne, bo nogi muszą dźwigać całe ciało. Gdy chodzicie, to właśnie nogi was noszą po schodach czy po chodniku. W ramionach są trochę cieńsze. W palcach są najcieńsze i najbardziej delikatne. W głowie też macie kość. Nazywa się czaszką. To taka wielka twarda bańka, do której przymocowane są uszy, oczy, nos i buzia. Kości są bardzo ważne. Nadają kształt naszemu ciału, dzięki nim wyglądamy tak jak wyglądamy. Gdyby wyjąć z nas kości całe nasze ciało zawaliłoby się jak namiot, z którego zabralibyśmy rurki. Bez kości wyglądalibyśmy jak kupa różowej galarety z oczami na czubku. Albo jak stosik budyniu. Co wolicie.

Kości połączone ze sobą są mięśniami. Mięśnie to takie sprężynki przyczepione do kości. Tych sprężynek jest w nas strasznie dużo. Człowiek umie poruszać każdą z tych sprężynek tak jak chce. Dzięki temu możemy chodzić, łapać w dłonie piłkę, kręcić głową czy gryźć kanapkę. Sprężynki w paluchach zamykają je albo otwierają. Poruszajcie palcami. Możecie zamknąć dłoń w pięść, albo otworzyć paluszki i wtedy dłoń jest prosta. Miejsca, w których kości łączą się ze sobą nazywamy stawami. Dziwne – przecież stawy to takie małe jeziora z rybami w środku. Ale ludzie nazwali też tak małe zawiasiki, którymi połączone ze sobą są kości. Stawy mogą się zginać jak drzwi w szafie czy w mieszkaniu. Drzwi trzymają się ściany właśnie na zawiasach – mogą się otwierać i zamykać. Noga w kolanie zgina się dokładnie tak samo. Stawów, czyli tych zawiasów między kośćmi, jest w człowieku strasznie dużo. Są w palcach, łokciach, kolanach, szczękach, stopach. Dzięki stawom i mięśniom możemy się poruszać. Ciało człowieka jest elastyczne, no może nie tak jak kawałek plasteliny, ale i tak nieźle. Zawiasy w waszym ciele, czyli stawy, nie pozwalają jednak wam za bardzo się wyginać, tak jak drzwi nie mogą się otworzyć dowolnie daleko. Inaczej by coś trzasło albo pękło. A wtedy by bolało.

Całość, czyli kości i mięśnie, pokryta jest skórą. Całe ciało schowane jest w worku ze skóry. Skóra chroni kości, mięśnie i resztę, o której jeszcze opowiemy, przed zarazkami, które krążą w powietrzu. Poza tym jest o wiele ładniej gdy nie widać tych wszystkich rzeczy, które mamy w środku, prawda?

O wiele ciekawsze niż to jak się człowiek porusza jest to, jak przerabia całkiem smaczne jedzenie jak lody czy cukierki na coś tak obrzydliwego jak kupa. Lubicie jabłka? To posłuchajcie co dzieje się z kawałkiem jabłka w waszym brzuchu.

Najpierw ręka bierze jabłko ze stołu. Małutkie sprężynki ciągną kości palców do siebie, aby ręka chwyciła jabłko. Potem inne mięśnie, czyli inne sprężynki, ciągną kości ręki aby ta podniosła jabłko do buzi. Wtedy mięśnie przyczepione do szczęki najpierw ją otwierają a potem zamykają na jabłku. Rozlega się głośnie chrum! i odgryziony kawałek jabłka trafia do naszych ust. W nich język, który jest mięśniem przyczepionym do gardła, obraca kawałek jabłka tak, aby zęby mogły go pociąchać na drobne kawałki. Wielki kawał jabłka nie zmieściłby się w rurce, która prowadzi z ust do brzucha. Bo wiecie, że wszystko co zjemy i wypijemy, trafia do brzucha, do specjalnego woreczka nazwanego przez ludzi żołądkiem. W żołądku rozmiełany przez zęby kawałek jabłka oblewany jest specjalnym sosem. Sos ten wyłazi ze ścianek żołądka gdy jesteśmy głodni. Kawałek jabłka miesza się z tym sosem i zaczyna przypominać trochę obrzydliwa zupę. Jak się zupa robi odpowiednio rzadka to przelewa się do następnej rurki, zwanej jelitem. Ta rurka jest cienka i bardzo, bardzo długa. Jest pozwijana w naszym brzuchu jak kłęb grubego sznurka. Jeden koniec jest połączony z żołądkiem a drugi z pupą. Zupa z jabłka podróżuje sobie tą długą rurką, czasami burcząc a czasami piszcząc trochę z nudów bo w brzuchu jest ciemno i nudno. Jak przyłożycie ucho do brzucha mamy albo taty to usłyszycie jak zupy z tego co zjedli przelewają się w ich rurkach-jelitach, podróżując sobie z żołądka do pupy.

Ciało człowieka, a więc i wasze, składa się z małych kawałeczków. Tak małych, że widać je dopiero pod mikroskopem, specjalnym powiększającym przyrządem, w którym włos wygląda tak gruby jak ołówek albo kredka. Te małe kawałeczki naszego ciała nazywamy komórkami. Komórki są w kościach, w mięśniach i w skórze. Są w naszych oczach, uszach i palcach. Są w całym naszym ciele. Aby żyć potrzebują jedzenia. Tak jak my potrzebujemy jedzenia, picia i powietrza, tak i komórki potrzebują właśnie – picia, jedzenia i powietrza. I tak jak my musimy czasem chodzić do ubikacji aby zrobić siku i kupę, tak i komórki też muszą czasem zrobić siku i kupę. Ale nie mogą pójść sobie do restauracji na obiad ani do ubikacji – no wiecie po co. Muszą przecież być na swoim miejscu i służyć nam. Nie wyobrażacie przecież sobie aby wasze oko poszło zjeść coś do kuchni albo nos nagle stwierdził, że musi do toalety, odczepiłby się od buzi i pobiegł zrobić kupę. Jak więc kawałki naszego ciała załatwiają te sprawy? Odpowiedź jest prosta. To krew im pomaga.

W naszym ciele pełno krwi. Na pewno widzieliście ją, gdy zadrapaliście się w rękę, przecięliście skórę na palcu albo obtarliście kolano. Wycieka wtedy trochę krwi. Krew jest w całym naszym ciele. Krąży w setkach rur, rurek i rureczek w naszych nogach, rękach, w nosie, w uszach, pod włosami i w ogóle wszędzie. W naszym brzuchu jest taka pompka, która pompuje przez te rurki i rureczki naszą krew, aby ciągle krążyła. Ta pompka to serce. Jak przyłożycie ucho do piersi taty albo mamy to usłyszycie takie BUM! BUM!BUM! To właśnie serce pompuje krew przez nasze ciało. A po co tak pompuje? Otóż krew roznosi po naszym ciele jedzenie i picie dla komórek, powietrze dla komórek i zabiera od komórek ich kupę i siku. Krew najpierw idzie sobie rurkami do jelita – pamiętacie ? – takiej rurki, którą podróżuje sobie w nas zupa z jabłka. Tam zabiera z tej zupy kawałeczki jedzenia i picia dla komórek i niesie je po całym ciele. A komórki zabierają sobie z krwi to co im potrzebne. I wkładają do krwi swoje kupy i siki. A krew podróżuje sobie znowu do jelita i tam zostawia te kupy komórek a zabiera znowu jedzenie. Po drodze do komórek krew odwiedza też płuca. Wiecie co to są płuca? To takie dwa worki, którymi oddychamy. Nabieramy powietrze i wypuszczamy. Nabieramy i wypuszczamy. Oddychamy właśnie w ten sposób. Krew, która dotyka płuc, zabiera z nich powietrze dla komórek. Przynosi im je razem z jedzeniem. Dzięki temu komórki mają siłę pracować. Jak długo nic nie jecie, komórki słabną i stają się leniwe. Nie macie siły biegać ani skakać.

Gdy krew nanosi do jelita dużo kup od komórek to musimy iść do ubikacji. Tylko pamiętajcie, aby spuścić wodę.

Skąd się wzięły brzydkie słowa.

Dawno temu ludzie nie znali brzydkich słów. Znali same ładne słowa, jak kwiatek, gwiazdy, słoneczko oraz zwykłe słowa jak kartofel, noga czy burchel. Najbrzydszym znanym słowem była kupa. Zresztą nikt prawie go nie używał.

Poza tym świat był dokładnie taki sam jak dzisiaj. Ludziom psuły się różne rzeczy – telewizory, maszynki do golenia, komputery, zacinął się papier w drukarkach. Zdarzały się wypadki samochodowe, spóźniały się pociągi, ludzie stukali się w kolano o kant stołu, gubili pieniądze. Dzieciaki wkurzały dorosłych, dorośli wkurzali dzieciaki. Ludzie chodzili wściekli i napuchnięci ze złości jak balony. A dlaczego chodzili tacy źli? Bo nie mieli jak się wyładować. Gdy dziecko dostawało pałę w szkole rodzice zamiast na nie nakrzyczeć, od razu brali pas i lali je w tyłek. Nie mieli jak nakrzyczeć na dziecko bo nie było złych słów – więc co mieli krzyczeć? Kupa, kupa, kupa? Jakoś im to nie pasowało. A gdy rodzice wkurzyli dziecko, potrafiło wsadzić im pomidor do buta, nasypać kredek do pralki albo przylepić kożę z nosa do najlepszej koszuli taty czy do ukochanej sukienki mamy. Jak się ludzie stuknęli samochodami to się zaraz brali do bijatyki. Samochody stukały się Bum! – na światłach czy na skrzyżowaniu, lampki tłukły się w nich z trzaskiem, blachy gięły się z hukiem. Kierowcy wyskakowali z samochodów i zaczęli się kłócić, kto jechał jak kupa a kto stał jak kupa. Ponieważ tylko się denerwowali na siebie coraz bardziej, to zaczęli najpierw się popychać, potem szczypać a w końcu bić. Czasem po takiej bójkę kierowcy wyglądali sporo gorzej niż ich rozbite samochody. Porozkwaszane nosy, powybijane zęby, porwane ubrania. Tak zwykle kończył się nawet mały wypadek samochodowy. Ale najgorsze rzeczy działy się wtedy gdy ludzie gdzieś śpieszyli się strasznie i coś się wtedy nagle psuło niespodziewanie. Na przykład: Facet spieszy się do pracy, goli się rano w pośpiechu, a tu maszynka do golenia wciągnęła mu wąsy do środka i nie chce puścić. Trzeba bowiem wam wiedzieć, że taka maszynka jak złapie za długie włosy, to wkręca je w małe kółeczko w środku maszynki i koniec! Facet wścieka się nieziemsko, bo tu nos w maszynce, boli straszliwie, a tu trzeba szybko lecieć do pracy. Maszynka nie chce puścić włosów a z maszynką przy nosie wstyd wchodzić do metra czy do autobusu. Wszyscy by się gapili i śmiali ukradkiem. I facet wkurza się maksymalnie, nie wie jak wyładować swoją złość i co? Rozwala lustro za siedemset złotych, urywa kran w łazience za dwieście trzydzieści, kopie w sedes – sedes pęka – kolejne dwieście złotych, łamie sobie stopę – taksówka do lekarza – trzydzieści dwa złote, i gips na nogę – złotych dwanaście. W sumie tysiąc sto siedemdziesiąt cztery złote, złamana noga a maszynka dalej na wąsach. Katastrofa!

Albo taka sytuacja – mam musi wydrukować podanie na drukarce i szybko zanieść je od kierownika. Piśze wszystko na komputerze, kończy, naciska klawisz drukuj. A tu – kupa!

Drukarka tylko rzezi, cmoka, fuka i nic. Papier obraca się w środku jak śruba motorówki, światełka drukarki migają jak w dyskotecie i dalej nic. Mama zagląda do drukarki, ale przez wąskie szpary niewiele tam widać. Zresztą co by mogła zobaczyć? Stuka w drukarkę, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej i mocniej, wkurza się straszliwie i w końcu bierze drukarkę w ręce i wyrzuca przez okno. Drukarka leci i leci, jak zestrzelony latawiec, jej kabel powiewa na wietrze, smutno i beznadziejnie. W końcu Łup! spada prosto na dach samochodu kierownika. Robi trzask, taki głośny, że wszyscy podbiegają do okien i patrzą

– to na rozbita drukarkę, której części walają się po parkingu, to na mamę, która stoi przerażona w oknie, to na rozbity samochód pana kierownika. Pan kierownik też patrzy a mama jeszcze tego samego dnia wylatuje z pracy. Nie tak efektownie jak drukarka ale mamie też niewesoło.

I takich sytuacji było pełno – każdego dnia ktoś wyrzucał drukarkę przez okno, kierowcy bili się przy wypadkach, ojcowie walczyli z maszynkami do golenia. Oprócz tego zdarzały tysiące innych sytuacji, jak rozporek, który nie chciał się rozpiąć w łazience a siku chciało się przeraźliwie, supel na sznurowadle gdy rodzice poganiiali, że trzeba szybko iść do kina, bo film już się zaczyna. Telewizor, który psuł się w trakcie meczu albo w środku fajnego filmu, herbata, która wylewała się na nowiutkie spodnie, lody na ulubionym swetrze, psia kupa na bucie. Wszędzie czaiły się przykre niespodzianki, jak złośliwe osy, gotowe by użądlić w najmniej odpowiednim momencie. Ludzie denerwowali się bardzo i niszczyli w złości mnóstwo dobrych rzeczy. Tłukli kubki i talerze, szyby w oknach, ekrany w komputerach, lampy, żelazka, drukarki, kalkulatory, budziki i tysiące innych bardzo przydatnych rzeczy. Wszędzie walały się kawałki szkła z rozbitych butelek, luster, szklanek i kubków – bo wszyscy najchętniej wyżywali się na małych szklanych przedmiotach. Ludzie kaleczyli się o te kawałki szkła i robili się jeszcze bardziej wściekli i niszczyli kolejne przedmioty przy byle okazji do złości. Wszyscy chodzili źli, zdenerwowani i najeżeni na siebie jak wściekłe psy.

W tym kraju żył sobie bardzo spokojny naukowiec. Zajmował się życiem motyli. Badał co jedzą, gdzie składają jajeczka i jakie kwiatki lubią najbardziej. Chciał dowiedzieć się jakie filmy lubią oglądać, czy smakuje im zupa pomidorowa, jak długo śpią i co im się śni. Badania były bardzo trudne bo motyle niewiele mówią, a właściwie wcale nie mówią. W dodatku w ogóle nie obchodziły ich wysiłki naukowca. Robiły swoje. Czyli latały i siadały na kwiatkach. A potem znowu latały i znowu siadały na kwiatkach. Naukowiec biegał za nimi i próbował pokazywać im różne filmy na przenośnym komputerze, podtykał motylom kanapki z szynka, lody i czekoladę oraz zupę pomidorową w słoiku a one nic – tylko latały i siadały na kwiatkach. Miały naukowca w nosie, a raczej w trąbce, bo motyle zamiast nosa mają taką ładną trąbkę. Wreszcie naukowiec biegnąc po łące potknął się o kopiec kreta i wywalił się jak długi w trawę. Okulary wpadły mu w krzaki, nosem przeorał jakąś kupę błota, aż mu się dziurki tym błotem zatkały. Przenośny komputer rymśnął prosto na kamień, zrobił brzdęk! i pękł a zupa wylała się ze słoika prosto na komputer. Przy okazji czekolada rozmasała się na ziemi i skutecznie wymazała nową kurtkę naukowca i prawie nowe spodnie. Naukowiec podniósł się z ziemi. Był wściekły na motyle. A one nic nie robiły sobie z jego upadku, tylko dalej latały i siadały na kwiatkach. Nie miał nawet czym rzucić ani co potłuc bo komputer już się potłukł a słoik po zupie potoczył się i zaginął w krzakach. Naukowiec stał zły, wymazany błotem i masłem czekoladowym, nawet nie wiadomo czym bardziej. Strasznie chciał coś zrobić, coś złego. I wtedy krzyknął na cały głos :

- A niech was motyla noga w tyłek kopnie!

I nagle cała złość mu odeszła! Nawet się uśmiechnął! Popatrzył na świat i pomyślał jakie to głupie podtykać motylom chleb z czekoladą. Przecież one wolą kwiatki! Poczuł, że cała wściekłość znikła. No, może zostało tylko troszeczkę. Ponieważ był naukowcem, a więc człowiekiem mądrym, zrozumiał, że złość przeszła mu, gdy tylko krzyknął – A niech was motyla noga w tyłek kopnie!

Więc krzyknął to jeszcze raz. Złość przeszła mu zupełnie. To było to! Jak się coś takiego krzyknęło, to od razu złość przechodziła! Naukowiec pobiegł szybko do najbliższego telefonu zadzwonić do przyjaciół i znajomych, aby podzielić się tym wspaniałym odkryciem. Gdy mijał ludzi na ulicy, a oni widzieli jak biegnie uśmiechnięty, a przecież umazany błotem i jakąś czarną mazią – szeptali – wariat, wariat! I chowali

się do bram i sklepów. Dotychczas bowiem, jak ktoś się ubrudził, to szedł wściekły i naburmuszony. A naukowiec podskakiwał i śpiewał sobie głupie piosenki, chociaż błoto kapło mu z nosa a spodnie przyklejały się do nóg, bo wymazane były czekoladą.

Naukowiec powiadomił wszystkich swoich znajomych, że gdy ktoś się zdenerwuje powinien krzyknąć na cały głos : motyla noga! I wtedy złość mu przejdzie. Ludzie na początku nie chcieli w to wierzyć, ale to naprawdę działało! Teraz, gdy komuś maszynka do golenia wciągnęła wąsy, ktoś oparzył się żelazkiem, spóźnił na pociąg, zaciął się papier w drukarce – krzyczał na cały głos : MOTYLA NOGA! I złość mu przechodziła. Naukowiec nasz zamiast badać motyle zaczął wymyślać inne zawołania, które pomagały zniknąć złości. Opracował wiele okrzyków, takich jak KURCZĘ BLADE!, DO WSZYSTKICH DIABŁÓW!, SZLAG BY TO TRAFIŁ! oraz najgorsze : CHOLERA JASNA!

Ludzie byli mu za to bardzo wdzięczni. Od tego czasu, gdy dzieje się coś złego wszyscy używają tych brzydkich wyrazów aby złość sobie poszła. I ona sobie idzie. Do wszystkich diabłów!

Skąd się wzięły duchy

Nie tak dawno, w jednym z wielkich miast żyli sobie tata z synem. Mieszkali w wielkim domu, w okolicy starego parku. Tata chłopca był pisarzem. Pisał kryminały, czyli książki sensacyjne – o szpiegach, bandytach, detektywach i policjantach. Pracował w swoim gabinecie, w którym zgromadził mnóstwo potrzebnych mu książek i encyklopedii.

Jego syn miał na imię Kazik. Tata nie miał dla niego zbyt dużo czasu, a właściwie prawie wcale go nie miał. Ciągłe pracował, pisał albo gdzieś wychodził. Tak jak większość ojców na tym świecie. Kazik sam siedział w domu, sam ganiał po podwórku, sam oglądał telewizję, sam chodził do kina. Wszystko robił sam, nawet jedzenie sam sobie gotował. Jego ulubionym daniem była pizza z lodami orzechowymi i bitą śmietaną a także hamburger z cebulą i dżemem truskawkowym. Ponieważ ojciec na wszystko mu pozwalał Kazik był strasznym łobuzem. Wszędzie go było pełno. W każde miejsce wsadzał swój przyszczaty nochal i coś broił. A to chciał zobaczyć czy można pomidorem stłuc szybę w oknie – okazało się że można. To zapragnął zostać strażakiem i w ramach treningu podpalił szopę na podwórzu. Zjechały się trzy wozy strażackie i karetka pogotowia a dym było widać aż w sąsiednim miasteczku. Postanowił też zostać Indianinem i postrzelił w tyłek kozę z łuku. Koza z bólu przeskoczyła ogrodzenie i wybiła szybę w samochodzie sąsiada. Same straty!

Tata miał z Kazikiem masę kłopotów. Pewnego razu, gdy Kazik zakradł się do gabinetu ojca i sokiem malinowym zalał mu cały komputer żeby sprawdzić czy komputery są sokoodporne, tata powiedział dosyć. Postanowił wziąć się za Kazika. Na całego.

Doszedł do wniosku, że Kazik jest takim łobuzem, bo ma za dużo wolnego czasu. Pomyślał, że gdyby jego syn miał więcej obowiązkowych zajęć, to by nie miał czasu na robienie psot. A więc zapisał syna na lekcje gry na fortepianie. Fortepian to takie wielkie pianino. Kazikowi lekcje bardzo się nie podobały. Kazali mu siedzieć przy fortepianie i szybko naciskać klawisze w odpowiedniej kolejności, tak aby za-

grać jakąś muzykę. Kazik nałapał myszy w ogrodzie i wpuścił je na drugiej lekcji do fortepianu. Myszy łąziły po strunach wewnątrz instrumentu i fortepian zaczął wydawać przeraźliwe dźwięki. Kazika wywalili z lekcji a razem z nim jego myszy.

No to tata zapisał go na lekcje karate. Ale Kazik nie lubił karate i zamiast chodzić na lekcje w sali gimnastycznej chodził sobie nad rzekę i rzucał kamieniami z mostu. Wszystko się wydało, jak trafił kamulcem w głowę jednego wędkarza a ten złapał go i zaprowadził na policję. Tata postanowił Kazika ukarać. Nie bardzo umiał wymyślić jakąś straszną karę więc po prostu zamknął Kazika w piwnicy i kazał mu się uczyć. Zamknął go w piwnicy dlatego, że piwnica nie miała okna, przez które Kazik mógłby zaraz uciec i znowu nabroić. Ale Kazik zamiast się uczyć stanął przy drzwiach i zaczął w nie kopać i walić pięściami. – Wypuść mnie, nie chcę tutaj siedzieć! – wrzeszczał na całe gardło. Ponieważ tata nie reagował Kazik zaczął wrzeszczeć – Jestem głodny, straszliwie głodny, daj mi jeść! – A gdy i to nie pomogło – Chcę si-ku! Chcę kupę! Otwieraj! Jestem bardzo chory, zaraz umrę! – I tak w kółko. Tata nie mógł pracować taki łomot i wrzask urządził Kazik. A właśnie musiał skończyć szybko jedną książkę o szpiegu zwanym „tajemniczą maślanką” bo szpieg był tajemniczy i lubił maślankę.

No i tata wpadł na świetny pomysł. Szybko zszedł do piwnicy, gdzie łobuz Kazik tupał i krzyczał. Ci-chutko podszedł do drzwi, w które walił Kazik i zajęczał : Uhuhuhuuuu! Kazik akurat nabierał powietrza aby głośniejsze wrzeszczeć i doskonale usłyszał te : Uhuhuhuuuu! Zamiast wrzasnąć wypuścił powietrze z sykiem i zapytał nieco drżącym głosem : Tata?

Na co tata odpowiedział znowu swoim : Uhuhuhuuuu! Bo nie wiedział co powiedzieć. Teraz Kazik już przestraszył się nie na żarty. Każdy by się przestraszył takiego czegoś co stoi pod drzwiami i robi : Uhuhuhuuuu! Nawet tata też się troszkę przeląkł. Ale nie dużo.

- Kto tam?! Kto Tam!? – Wyszeptał Kazik drżącym ze strachu głosem.

I wtedy tata wpadł na super szatański pomysł . Pomyślał sobie, że powie że to DUŻE STRACHY i tym tak przestraszy Kazika, że ten się uspokoi i da mu pisać książkę o superszpiegu „ tajemniczym maślance”. Ale tata akurat dostał czkawki i zamiast DUŻE STRACHY powiedział DU-(tu czknął i zgubił sylaby)-CHY.

- To my! Du-Chy! – powiedział szeptem. I oczywiście zaraz dodał te swoje : Uhuhuhuuuu! – i czknął – Yć! - na koniec. Kazik przestał wrzeszczeć i ze strachu schował się do wielkiego worka na śmieci, który stał w piwnicy. Tata zadowolony poszedł pisać swoją książkę.

Kazik siedział cicho w piwnicy aż do wieczora. I pewnie siedziałby tam cicho całą noc gdyby tata nie przypomniał sobie o Kaziku przy kolacji. Zszedł do piwnicy i wypuścił syna. Kazik w milczeniu zjadł kolację, pożegnał się z tatą i pomaszerował do łóżka – grzecznie jak nigdy dotąd. Następnego dnia poszedł do szkoły i zamiast łobuzować jak zwykle opowiedział swoim kolegom o straszliwych Du-Chach, co robią Uhuhuhuuuu! i straszą u niego w piwnicy. Opowieść szybko została powtórzona w różnych klasach. Wkrótce wszystkie dzieciaki w szkole opowiadały o straszących u Kazika w piwnicy Du-Chach. Dzieci opowiedziały to swoim rodzicom, a ci, gdy ich dzieci były niegrzeczne, zaczęły straszyć je tymi duchami z piwnicy. I tak opowieść o straszliwych duchach rozeszła się po całym mieście, a w końcu i po całym kraju.

Odtąd, gdy dzieciaki były niegrzeczne, ich rodzice straszą je duchami, chociaż sami nie wiedzą co to jest.

Musze Wam powiedzieć, że sam bardzo żałuję, że duchów nie ma. Kiedyś przesiedziałem w piwnicy całą noc i żadnego niestety nie spotkałem. A to wielka szkoda, gdyż bardzo bym chciał sobie z takim duchem pogadać dlaczego mamy się ich bać.

Dlaczego niby są niewidzialne i dlaczego niby robią : Uhuhuhuuuu! Jakbyście kiedyś spotkali jakiegoś ducha, to go o to zapytajcie. Tylko nie zapomnijcie kochani!

Skąd się wzięły gwiazdy i dlaczego nocne niebo jest czarne.

Dawno dawno temu nad ziemią były dwa słońca., które świeciły na błękitnym niebie. Jedno świeciło w dzień a drugie też świeciło w dzień, bo nie było przecież nocy, tylko dwa dni, jeden za drugim, po kolei. Gdy zachodziło jedno słońce, drugie właśnie wychodziło zza horyzontu i zaczynało świecić zamiast tego pierwszego. Na ziemi cały czas było jasno. Cały czas świeciło słońce – a to jedno a to drugie. Miało to jedną bardzo złą stronę – ludzie nie mogli się wyspać.

Ludzie lubią spać gdy jest ciemno. I odwrotnie – gdy jest ciemno, ludziom zaczyna się chcieć spać. Ziewają, kładą się na łóżkach i zasypiają. A tu tymczasem ciągle było jasno. Ludzie nie mogli zasnąć w normalny sposób. Zawsze któreś ze słońc świeciło i swymi promieniami kłuło ludzi w oczy. A tymczasem ludzie muszą spać. Gdy się nie wyspią, są zmęczeni i źli. Denerwują się z byle powodu, krzyczą na siebie i na swoje dzieci. Nie chcą kupić lodów ani pizzy na obiad. Trzeba być cicho, bo przeszkadzają im byle hałasy. Nawet trochę głośniejszy telewizor z ulubioną bajką zaraz powoduje krzyk : Ciszej tam do diabła!

Dzieciaki niewyspane gorzej się uczą, dostają gorsze oceny w szkole albo są niegrzeczne i pani z przedszkola skarży się mamie, że Jaś czy Monika znowu byli niedobrzy. Wtedy rodzice złością się jeszcze bardziej. I tak w kółko. Tata przychodzi bardziej zmęczony z pracy, nie chce się bawić, ani poczytać bajek, bo tylko chce mu się spać, a tu słońce świeci tak jasno, że nawet nie można się zdrzemnąć a co dopiero porządnie zasnąć.

Ludzie próbowali spać w piwnicach, gdzie nie było okien. Ale w piwnicach jest zimno i nieprzyjemnie, a poza tym co to za frajda spać w piwnicy. Kupowali sobie ciemne okulary, tak ciemne, że prawie nic nie było w nich widać. Wtedy mogli zasnąć. Ale gdy spali, kręcili się a wtedy okulary spadały im z oczu i blask słoneczny budził od razu. Niektórzy chowali całą głowę w worki z czarnego materiału, ale było im w tych workach gorąco i duszno. Słowem – było bardzo kiepsko.

Wtedy ludzie postanowili zepsuć jedno ze słońc. Gdyby jedno słońce zgasło, wtedy, gdy to drugie zachodziłoby za horyzont, zapadałaby ciemność i ludzie mogli by spać. A po pewnym czasie słońce znowu by wychodziło na niebo, byłby dzień i ludzie mogliby budzić się wyspani i iść do pracy, na zakupy do szkoły czy do przedszkola.

Zebrali się więc wszyscy ludzie na olbrzymim placu i zaczęli wymyślać sposoby zepsucia jednego słońca. Nie było łatwo. Słońce było bardzo daleko i w dodatku było straszliwie gorące, o wiele bardziej gorące

niż garnek zupy, ugotowanej przez babcię na obiad.

Wreszcie znany astronom – Wincenty Bobek, wymyślił, że najlepiej byłoby

oblać słońce czarną farbą. Pomysł bardzo się ludziom spodobał i szybko zaczęto gromadzić w gigantycznej beczce całą czarną farbę, jaką udało się zebrać na ziemi. Zebrano farbę od malarzy, ze sklepów z farbami, od producentów ubrań, a nawet od dzieci zabrano ich czarne farbki do malowania obrazków. Ale było za mało. Odessano więc czarny kolor z przedmiotów, które już pomalowano. Ze sklepów zniknęły czarne ubrania, bo przecież cały zapas czarnej farby zabrano z nich dla zamalowania słońca. Nie było czarnych kurtek, czarnych czapek ani butów. Nawet księża stracili czarne sutanny i zostali w białych. Do dzisiaj część duchownych nie pofarbowała sobie na nowo strojów i chodzą ciągle w białych. Policjanci nie mieli już czarnych mundurów, tylko niebieskie. Piraci, zamiast czarnej flagi na maszcie musieli powiesić różową, bo czarny kolor im zabrali. Zniknęły z ulic czarne samochody, bo cały zapas czarnej farby ludzie gromadzili w olbrzymiej beczce. Powstały wtedy kolorowe gazety, bo gdy zabrano czarną farbę drukarzom, musieli drukować kolorowe czasopisma. Dotychczas bowiem drukowano wszystko na czarno. Próbowano nawet zebrać czarną farbę z węgla, ale się nie udało. Okazało się bowiem, że węgiel jest czarny sam z siebie, a nie jest pomalowany.

W końcu zebrano tyle farby, że zapełniono całą beczkę. Teraz trzeba było wylać tę farbę na słońce. W tym celu zmajstrowano olbrzymią procę używając wszystkie gumki od majtek z całego świata. Związano je w jedną wielką długą i grubą gumę, którą zaczepiono o najgrubsze drzewo. Potem używając lokomotywy naciągnięto gumę i załadowano gigantyczną beczkę z czarną farbą. Najlepszy myśliwy na całym świecie, znany pogromca dzikich zwierząt Remigiusz Masełko sam wycelował procę prosto w słońce. I gdy już miał wystrzelić nagle obsunęły mu się gacie, bo i z jego majtek wyciągnięto gumkę. Wtedy ręką mu drgnęła i nie trafił. Beczka ominęła słońce o włos i rąbnęła w niebo za słońcem. Oczywiście beka pękła a czarna farba rozpląnęła się po niebie. W beczce było bardzo dużo farby i całe niebo za słońcem stało się czarne. Niestety, słońce nadal świeciło pełnym blaskiem i nie dawało spać ani trochę.

Wtedy poproszono wielkiego generała wojsk rakietowych, aby zestrzelił słońce rakieta. Przedtem nie chcieli tego robić, bo głupio tak jakoś było strzelać rakieta do słońca. Ale teraz nie było już innego wyjścia. Wycelowano więc rakieta i wystrzelono pocisk. Rakieta przeleciała całą drogę i walnęła w słońce jak w kaczę kuper. Wybuchła i rozerwała słońce na tysiące kawałeczków, które rozbryznięły się po całym nieboskłonie i powbiły w niebo, na którym już zaschła czarna farba z beczki. Do dzisiaj tam tkwią i świecą resztką blasku rozbitego słońca. Nazwano je gwiazdami. A jeden jedyny większy kawałek, który pozostał z rozwalonego słońca ludzie nazwali księżycem. Świeci on słabo, bo jest mały a w dodatku z jednej strony pokryty czarną farbą, która obryzgała go podczas rozbicia beczki. Obraca się jak piłka i czasem widać tylko tę stronę pomalowaną na czarno, czasem widać stronę jasną a czasem trochę jednej i trochę drugiej. Dlatego ludzie pozwalają mu świecić, bo nie przeszkadza im spać. Niektórzy nawet lubią jego blask.

Skąd się wzięły komary i inne wstrętne kłujące fruwacze

Dawno temu w pewnym pięknym i bogatym kraju ludzie żyli sobie spokojnie i szczęśliwie. Łowili ryby, siali i zbierali zboże, robili w fabrykach różne potrzebne przedmioty jak lody, majtki czy papier toaletowy. Niestety, jedna rzecz była bardzo nieprzyjemna w ich świecie. Były to muchosy. Muchosy wyglądały jak olbrzymie muchy i miały niestety wielkie żądła, długie kłujące szpikulce umieszczone na tyłkach. Żądła były takie długie i twarde, że bez trudu przekłuwały ludzką skórę, chronioną nawet przez gruby sweter czy kurtkę. Nie wiedzieć czemu muchosy były straszliwie agresywne i zawzięte. Latały i żądliły swoimi żądlami wszystko co udało im się dopaść. Wychodził na przykład jakiś człowiek z zakupami ze sklepu. Szedł sobie spokojnie do samochodu aż tu nagle pojawiała się wredna muchosa i dawaj go żądlić, to w tyłek, to w rękę, to w brzuch. A bzyczała przy tym straszliwie, latała to z przodu, to z tyłu, to z boku i tylko bzyczała BZZZZZZZZZZZZZZZZZZ!!!!!! Człowiek zaczynał oganiać się od muchosy, wymachiwał torbami na prawo i lewo, podskakiwał, robił uniki, przysiady i pisał z bólu gdy żądło muchosy wbijało mu się w ciało. Torby pękały, zakupy wysypywały się na ziemię. Butelki tłukły się z brzękiem, jajka rozbryzgiwały się na chodniku, dżem rozmazywał się po spodniach – po prostu KATASTROFA!. Po chwili muchosa odlatywała sobie zadowolona, że kogoś użądliła, podśpiewując sobie jakąś muchosią piosenkę a człowiek zostawał na ziemi, pożądlony, z rozbitymi i rozsypanymi zakupami i spuchniętą pupą.

Albo na przykład strażak gasił sobie spokojnie pożar, stał z sikawką i polewał płomienie a tu nagle zza rogu wylatywała muchosa i dziab! go w nogę! Strażak podskakiwał z bólu, sikawka wypadła mu z ręki i zaczynała sikać wodą na niego, na innych strażaków, na samochody stojące w pobliżu, na starszą panią co wyszła z domu popatrzeć jak się ładnie pali, na policjanta co pilnował aby nikt nie przeszkadzał strażakom gasić ognia, na myszy co uciekły z płonącego domu i martwiły się teraz gdzie będą mieszkać, słowem – na wszystko tylko nie na pożar. A muchosa fruwała sobie wysoko i cieszyła się z bałaganu, który narobiła.

Takich historii można by opowiedzieć o wiele więcej – o wędkarzach co wpadali do jeziora gdy muchosy użądliły ich w tyłki, o kierowcach rozbijających swoje samochody gdy muchosy wpadały im przez otwarte okna, o dentystach, co wyrywali pacjentom nie ten ząb, który trzeba gdy muchosa dziabnęła ich w rękę. Jednym słowem – muchosy straszliwie się ludziom naprzykrzały i przeszkadzały. Tak bardzo, że pewnego razu ludzie postanowili wytłuc wszystkie muchosy – na śmierć!

Pomysłów mieli wiele, ale wybrali jeden. Pewnego dnia na każdej ulicy i na każdym placu postavili wykonaną z plastyku ludzką postać – tak zwany manekin - grubo posmarowaną klejem. Ludzie umówili się, że tego dnia nikt nie wyjdzie z domu. Dzieci nie poszły do szkoły, dorośli do pracy. Nie wyjechały autobusy, sklepy pozostały zamknięte, nie pracowały fabryki. Ani trochę.

Muchosy obudziły się i zaczęły fruwać nad manekinami. A potem trzask! – rzuciły się do żądlenia. Ale co która wbijała żądło w manekin, zaraz się do niego przyklejała. Bo jak pamiętacie – manekiny były pokryte klejem. Do wieczora wszystkie muchosy były poprzyklejane do manekinów i bzyczały wściekle, ale nic nie mogły zrobić. Wtedy ludzie wyszli z domów, zapakowali oblepione muchosami manekiny do wielkiej rakiety i wystrzelili ją w kosmos. Rakieta poleciała a ludzie stali i klaskali z radości, że wreszcie pozbyli się wstrętnych muchos.

Przez następnych parę dni było bardzo fajnie. Wreszcie ludzie mogli bez strachu chodzić sobie na spacer, robić zakupy, jeździć samochodami z otwartymi oknami. Żadna muchosa ich nie atakowała bo wszystkie leciały sobie w kosmos wielką rakieta i były bardzo daleko, coraz dalej. Ale nagle coś się stało. Najpierw zniknęły ptaszki. Z początku ludzie tego nie zauważyli, ale zrobiło się cicho, bo ptaki przestały śpiewać ponieważ ich nie było. Trzeba wam wiedzieć, że jak ptaków nie ma to nie śpiewają. Ludziom

zrobiło się smutno, bo bardzo lubili śpiew ptaków. Ale nie to było najgorsze. Za parę dni zobaczyli jak nagle w rzekach i jeziorach zaczęły rosnąć wielkie wodne rośliny. Tak szybko i takie wielkie, że wkrótce nie było już miejsca dla wody i woda wylała się na łąki, pola a potem na miasta. Zalane pola nie dawały zboża, w miastach wszędzie było mokro i wilgotno. Ludzie chodzili po kolana w wodzie, na placach zabaw i w parkach pełno było błota. Zebrało się wielu naukowców, aby dowiedzieć się, dlaczego tak się stało. Długo dyskutowali, aż w końcu wyjaśnili przyczyny katastrofy. Wszystko złe co się stało było skutkiem tego, że nie było muchos. Otóż muchosami żywiły się ptaszki. Gdy zabrakło muchos, ptaszki odleciały sobie, bo nie miały co jeść. Okazało się też, że małe muchosy, takie, które nie umiały jeszcze latać, żyły sobie w wodzie i zjadały ziarenka wodnych roślin, które rosły właśnie w zbiornikach wodnych. Gdy zabrakło muchos, roślinki rozrosły się straszliwie, powodując katastrofę powodzi. W dodatku okazało się, że muchosy w wolnym czasie latały sobie po kwiatkach i przenosiły pyłek kwiatowy na swoich nóżkach. Bez tego nie mogły wyrosnąć jabłka, pomarańcze, truskawki a nawet czereśnie i śliwki. Ludzie zaczęli płakać, bo jak tu żyć bez ptaków, bez jabłek, truskawek i innych owoców w dodatku po kolana w błocie. Po prostu tragedia! Chciano polecieć po muchosy w kosmos, ale rakieta była już strasznie daleko a w dodatku muchosy były całe w kleju i mogły już się zupełnie do niczego nie nadawać. Więc ludzie poprosili specjalnych naukowców, zwanych biologami, aby zrobili nowe muchosy. Trudno, już nich kłują i przeszkadzają, ale niech małe muchosy zjedzą wodne rośliny, niech wrócą ptaki i niech znowu wyrosną truskawki i czereśnie. Ale nie było to takie proste. Naukowcy długo myśleli, jak zrobić nowe muchosy. Jedni chcieli przyklejać skrzydełka mrówkom, inni przyczepiać śmigielka pająkom, jeszcze inni chcieli zmniejszać ptaki albo uzbrajać dżdżownicę w małe silniki odrzutowe. Każdy uważał, że jego pomysł jest najlepszy i tak długo dyskutowali, że pokłócili się wszyscy ze wszystkimi i każdy na własną rękę zabrał się do pracy.

Każdy naukowiec w końcu zrobił swoją małą muchosę. Pierwsi zrobili trzmiele, komary, osy i pszczoły. Inni, którzy wpadli na pomysł, że przecież te nowe muchosy wcale nie muszą mieć żadeł, zrobili muchy – dużo różnych rodzajów. I takie wielkie, kolorowe, bzyzące jak małe samoloty. I takie zwykłe, natrętne, które nie dają się rano wyspać, i takie małe, które siedzą sobie na owocach. A jeden z naukowców, ten najmądrzejszy, wymyślił motyle. Motyle są najlepsze, bo nie przeszkadzają ani trochę, tylko są piękne. Niestety, tak długo pracował nad swoim pomysłem, że wszyscy zdążyli wypuścić swoje nowe muchosy przed nim. A ponieważ każdy uważał, że jego fruwaczki są najlepsze, nikt nikogo nie pytał o zdanie i teraz mamy na świecie wiele, wiele różnych rodzajów fruwających stworzonek. Wróciły ptaki, które znowu miały co jeść. Przyleciało nawet wiele więcej różnych ptaszków, bo jedne lubiły jeść komary, inne wołały osy, a jeszcze inne muchy. Ponieważ ludzie bardzo lubili ptaki, pogodzili się z tym, że teraz było o wiele więcej żądających owadów niż kiedyś. Zwłaszcza, że żadne z nowych muchos nie były tak wstrętne i agresywne jak te stare muchosy. Małe komary, ważki i motyle zjadały wodne rośliny i wkrótce znowu było miejsce dla wody w rzekach i jeziorach. Miasta i pola stały się suche a dzieciaki mogły bawić się w parkach a nie taplać w błocie. I wszyscy mogli podziwiać motyle. A najmądrzejszy naukowiec wciąż wymyślał nowe modele i wzory motyli skrzydeł. Dlatego jest ich tak wiele.

Skąd się wzięły odtwarzacze MP3

Był sobie raz pewien bardzo zdolny wynalazca imieniem Roman. Wynalazł kapelusz z wentylatorem, bo w kapeluszach, zwłaszcza latem jest gorąco. Wentylator tak dobrze chłodził, że było tak, jakby się w

ogóle kapelusza nie miało. Złośliwi mówili, że wystarczyłoby zdjąć kapelusz i byłoby tak samo jak w kapeluszu z wentylatorem, ale to byli zawistnicy, zazdrośni, że sami niczego nie wynaleźli. Nasz wynalazca wynalazł też lody o smaku kielbasy, ale nie wiedzieć czemu, dzieci nie chciały ich jeść. Wynalazł więc lody o smaku szynki, kotletów mielonych i ogórków kiszonych, ale też nikt ich nie kupował. W końcu wymyślił cukierki o smaku kiszonej kapusty. Niestety, też bez powodzenia. Wymyślił parasol z wielką dziurą pośrodku, żeby można było w każdej chwili spojrzeć na niebo i zobaczyć jaka jest pogoda. Ale nikt nie chciał kupować wynalazków Romana. Nasz wynalazca zaczął chodzić bardzo smutny. Nawet trochę popłakiwał po kątach, jak wydawało mu się, że nikt nie widzi.

Wynalazca miał córkę imieniem Izolda i psa, którego nazwali Klops. Córka kochała bardzo swego tatę i martwiła się, że chodzi smutny. Ponieważ wiedziała, że jej tata bardzo lubi muzykę postanowiła, że zrobi coś, aby Roman wciąż mógł słyszeć ciągle jakąś wesołą muzyczkę. Ale nie wiedziała jak to zrobić. Najpierw wpadła na pomysł, żeby jej koledzy chodzili za Romanem i grali jakieś melodie. Miała bowiem dwóch znajomych chłopców, z których jeden grał na fujarce a drugi na cymbałkach. Poprosiła ich więc, aby grali dla taty. Niestety, pomysł nie sprawdził się całkowicie. Po pierwsze koledzy umieli wspólnie grać tylko jedną jedyną melodię – wlaź kotek na płotek i to w dodatku fałszowali. Po drugie – a to jeden z chłopców musiał iść do domu na obiad, a to drugiemu zachciało się kupe, a to obydwaj się pobili o fujarkę, tak że często występowały dłuższe przerwy w graniu. A po trzecie, kiedy wynalazca Roman chciał sobie na przykład zrobić kanapkę w kuchni, chłopcy pętali mu się pod nogami, przeszkadzali, bo kuchnia była bardzo mała. Raz nawet jeden z chłopców, ten od fujarki, zaczepił nią o słoik z solą i wwalił cały ten słoik do garnka z zupą. Takiej zupy to nawet muchy jeść nie chciały – taka była słona. W końcu wynalazca przegnał chłopców na cztery wiatry. Poszli obrażeni i nadęci, że tak nie doceniono ich starań. Próbowali później grać w metrze, ale pogryzł tam ich jakiś zdenerwowany pies. W końcu grali o kotku, a psy tego nie lubią.

Izolda nie dała za wygraną i dalej próbowała. Teraz wpadła na pomysł, żeby nauczyć grać na instrumentach pchły. Pchły były małe, można by je zamknąć w niewielkim pudełeczku i grając tam nie przeszkadzałyby tacie w kuchni. Tata mógłby nosić pudełeczko przy uchu i doskonale słyszałby pchłą muzykę. I to był świetny pomysł. Pchły miał Klops i po niedługich targach zgodził się za kawałek kielbasy wypożyczyć trzy pchły Izoldzie. Izolda szybko nauczyła się pchlego języka, gdyż był bardzo prosty – składał się zaledwie z kilkunastu słów, głównie hop, siup, skok, dylu dylu, pyc i bęc. Pchły zgodziły się grać, bo jak nie siedziały na Klopsie to nie miały nic do roboty i nudziły się okrutnie. Izolda szybko zmajstrowała maleńkie instrumenciki – trąbkę, bębenek i malutkie pianinko. Pchły okazały się bardzo muzycznie uzdolnione. Po dniu nauki grały już trochę Mozarta i kilka przebojów Radia Zet. Izolda urządziła im w pudełku po ciastkach mieszkanie z łazienką. Pchły były bardzo szczęśliwe. Dziewczynka dała pudełko z pchłami tacie a ten przyczepił je sobie do ramienia, aby pchły grały mu prosto do ucha. Nie grały bowiem zbyt głośno, ale jak były przy uchu to było w porządku. I wszystko byłoby dobrze gdyby jedna z pcheł nie złamała sobie palucha. Koniecznie chciała podlubać w nosie podczas gdy grała na trąbce. Paluch zaplątał się w trąbkę, zniecierpliwiona pchła szarpnęła nim i traaach! Paluch pękł. Pchła pojechała do pchlego doktora a reszta orkiestry przestała grać bo jak tu grać bez trębacza. Wynalazca Roman, który w międzyczasie bardzo polubił pchłą muzykę zaczął się znowu robić smutny. Szybko jednak wpadł na pomysł jak zaradzić temu co się stało. Usiadł przy swoim specjalnym stole wynalazcy, wziął wielką lupę i szybko zmajstrował maluteńkiego robocika. Robocik był wielkości pchły. Zaprogramował go na graniu na trąbce i gotowe. Włożył go do pudełka po ciastkach, tam gdzie siedziała reszta pcheł. Robocik wziął w swoje mechaniczne łapki trąbkę i zagrał, nawet wcale nie gorzej niż pchła. I znowu Roman mógł cieszyć się wesołą muzyką przy uchu.

Pewnego razu pchły się pochorowały. Zjadły za dużo bitej śmietany i rozboleły je brzuchy. Roman dał im kropli mietowych na ból brzucha a potem szybko zrobił jeszcze dwa takie robociki jak poprzednio. Za-programował je do gry na różnych instrumentach. Pchły zwrócił Klopsowi, bo pies zaczął już marudzić, że chce swoje pchły z powrotem. Robociki nie potrzebowały ani sypialni ani jadalni, bo były elektroniczne, więc Roman zmniejszył pudełko do całkiem malutkiego. Zaopatrzył je też w rodzaj rurki, którą muzyka robocików dolatywała mu od pudełka do uszu, żeby nie musieć nosić pudełeczka na ramieniu. Na całości zrobił mazakiem napis MP3 – Muzyczne Pchły 3 – przez pamięć dla pcheł, które pierwsze przecież muzykowały w pudełku. I tak powstał pierwszy odtwarzacz MP3. Roman zrobił ich bardzo dużo i sprzedawał – wszyscy kupowali, bo bardzo lubili słuchać muzyki. Roman zarobił bardzo dużo pieniędzy i kupił Izoldzie karetę z parą koni oraz wielką lodówkę pełną lodów, ale o normalnych smakach. Nie wiadomo czemu nie chciała lodów o smaku kiełbasy.

Po pewnym czasie Roman dołożył do pudełeczka jeszcze jednego robocika grającego na gitarce – i tak powstał odtwarzacz MP4. I wszyscy słuchali muzyki długo i szczęśliwie.

Skąd się wzięły pieniądze

Dawno temu, w pewnej niewielkiej wiosce mieszkał sobie szewc. Szewc to taki facet co robi buty. Różne buty – kalosze z gumy na deszcz, zimowe buty na zimę i letnie buty na lato. Tenisówki, buty sportowe, półbuty i całe buty. Umiał zrobić każdy but dla każdego. Szewc miał dwójkę dzieci – córkę Bubę i syna Klopsa. Córka była grzeczna i mądra, dobrze się uczyła i pomagała tacie w domu. Syn był łobuzem, wolał gonić koty i rzucać w ludzi balonami z wodą niż chodzić do szkoły. Miał z nim szewc mnóstwo kłopotów, ale kochał obydwoje swoich dzieciaków.

Nie było wtedy jeszcze pieniędzy i ludzie wymieniali między sobą różne rzeczy. Jak na przykład szklarz miał ochotę na ogórki to szedł do ogrodnika i pytał go, czy nie potrzebuje oszklić jakiegoś okna. Jak ogrodnik akurat chciał szybę to dawał szklarzowi za to ogórki. Ale zwykle szyba nie była mu potrzebna i szklarz nie dostawał ogórków. Szedł zły do domu bo bardzo lubił ogórki. Gdy za kilka dni ogrodnikowi pękła szyba w oknie, leciał do szklarza i chciał mu dać ogórki za szybę. Ale szklarzowi już przeszła ochota na ogórki i nie chciał dać szyby ogrodnikowi. Obydwaj robili się na siebie źli.

Gdy producent nocników chciał mieć konia szedł do hodowcy konia i pytał się, czy hodowca nie potrzebuje nocnika. Ale nawet jak hodowca potrzebowałby nocnik to przecież nie mógł dać konia za jeden nocnik. Koń wart był co najmniej sto nocników ale po co hodowcy sto nocników? Można by co prawda nie myć nocnika po.... no wiecie po czym, tylko wyrzucać go za płot i brać nowy. Ale po kilku tygodniach za płotem byłaby wtedy wielka śmierdząca góra nocników co na pewno nie byłoby przyjemne. Z drugiej strony, jak hodowca chciał sobie kupić nocnik to jak miał to zrobić? Przecież nie mógł dać za nocnik kawałka konia. Nie mógł dać ani nogi konia, ani uszu ani nawet ogona. Bo koń bez ogona byłby smutny i nieszczęśliwy.

Pełno było takich problemów. Lekarz mógł jeść ogórki tylko wtedy jak ogrodnik zachorował i zapłacił mu ogórkami za lekarstwa. Dentysta mógł sobie zjeść ciastko tylko wtedy jak piekarza bolały zęby. A

malarz mógł kupić sobie nowe spodnie tylko wtedy, gdy krawiec, który szyl spodnie, akurat potrzebował pomalować sobie mieszkanie. Było marnie, bo każdy coś chciał a musiał czekać na okazję, żeby się zamienić. Czasami musiał czekać bardzo długo.

Pewne razu do szewca przyszedł piekarz.

- Słuchaj – powiedział – chcę abyś uszył buty dla mojej żony. Muszą być naprawdę piękne, takie, żeby jej się podobały. Dobrze ci za nie zapłacę.

Szewc oczywiście umiał zrobić takie buty.

- Jasne, że zrobię. Będą najpiękniejsze w całej wsi. Ale będą dużo kosztować.
- Nie ważne ile, bylebyś zrobił te buty. Chciałbym swojej żonie zrobić przyjemność.

Szewc bardzo, ale to bardzo lubił ciastka.

- Będę za te buty chciał 200 ciastek z kremem – powiedział szewc. Ciastka lubili też Buba i Klops, ale nie aż tak bardzo jak ich tata.
- Zgoda – Zgodził się piekarz – niech będzie 200 ciastek. I dorzucę ci jeszcze 10 rurek z marmoladą, jak mi się buty podobają.
- Zgoda – ucieszył się szewc i zabrał się do pracy.

Szył buty przez tydzień. Napracował się bardzo. Zrobił piękne wysokie buty, z czerwonej skóry z niebieskimi cekinami. Powbił w podeszwy złote gwoździe, żeby były jeszcze ładniejsze. Gdy zaniósł je do piekarza, temu tak bardzo się spodobały, że zaczął się zastanawiać czy przypadkiem nie wziąć ich dla siebie. Ale były sporo za małe bo piekarz miał tak wielką stopę jak rozdeptany kalafior. Ale i tak dał szewcowi dwieście ciastek z kremem i jeszcze dziesięć rurek z marmoladą. Szewc zapakował ciastka na mały wózek i poszedł do domu zającując się słodyczami. W domu usiadł razem z dziećmi do stołu i obżerali się ciastkami do późnej nocy. Razem zjedli prawie trzydzieści ciastek i sześć rurek z marmoladą. Potem poszli spać.

Rano obudzili się ze strasznymi bólami brzucha. O mało nie pobili się przy drzwiach łazienki, tak im się chciało skorzystać z sedesu. A sedes był tylko jeden. Klops, ostatni w kolejce, nie wytrzymał i poleciał do lasu, który rósł tuż za domem. Ledwo zdążył. Zebrali się później w kuchni na śniadaniu, ale nikt z nich nie miał ochoty na jedzenie. Dopiero wieczorem zjedli po jednym ciastku.

- Wiesz, nie mogę już patrzeć na ciastka – Powiedziała do szewca jego córka Buba. – niedobrze mi się robi jak je widzę.
- I mi też – powiedział Klops i strasznie brzydko mu się odbiło.
- Ja także nie mam na nie ochoty – Szewc spojrzał z niechęcią na górę pozostałych ciastek – Niech poleżą, może za dwa, trzy dni przyjdzie nam na nie ochota.

No i przyszła. Ale gdy wyjęli ciastka z szafy były one już strasznie niesmaczne. Krem zapleśniał a ciasto stało się twarde jak kamień. Dżem w rurekach bardziej przypominał błoto niż słodki przysmak. Smakował zresztą też jak błoto, tyle, że spleśniałe. Patrzyli na górę zmarnowanych ciastek i zrobiło im strasznie żal. Szewc napracował się przecież przy tych butach dla piekarza, a teraz niemal cała jego zapłata zmieniła się w niejadalne obrzydlistwo. I wtedy Buba wpadła na genialny pomysł.

-Nie byłoby tak źle gdybyś nie wziął od piekarza wszystkich ciastek od razu tylko brał każdego dnia po trochu.

-Ty głupia – powiedział Klops, który nie był zbyt mądry – to i tak na trzeci dzień mielibyśmy kupę zgnilców zamiast ciastek, tak jak teraz.

- Sam jesteś głupi – Odgryzła się Buba – Piekarz piekłby dla nas ciastka każdego dnia, świeże i ciepłutkie, po trzy, dla taty, dla mnie i dla ciebie, chociaż z ciebie taki baran, że ci się żadne ciastko nie należy. Dałby nam na przykład za te buty dwieście karteczek, na których byłoby napisane – CIASTKO- i jak któreś z nas chciałoby ciastko to byśmy zamieniali taka karteczkę na ciacho u niego w piekarni.

- To świetny pomysł! – Powiedział tata – I można go zastosować w całej wiosce. Na przykład jak szklarz chciałby ogórki od ogrodnika, mógłby mu dać kartkę z napisem – SZYBA – a ogrodnik mógłby dać mu na przykład za to dziesięć kartek z napisem – OGÓREK. Kartkę z takim napisem można by zamienić na ogórka.

- Rewelacja – Podchwyciła Buba – a lekarz mógłby dawać kartki z napisem – CHOROBA- a hodowca koni karteczkę z napisem – KOŃ. Ludzie mogliby się takimi karteczkami wymieniać. Na przykład ty mógłbyś dać producentowi nocników karteczkę CIASTKO za nocnik.

- Oj tak! Jak się mamy znowu obżerać ciastkami to przydałby mi się nocnik – powiedział Klops – nie musiałbym biegać do lasu. Komary pogryzły mnie w tyłek.

Szewc zwołał wszystkich mieszkańców wioski aby przedstawić im znakomity pomysł z karteczkami. Ludzie bardzo się ucieszyli z takiego rozwiązania. Teraz każdy, kto chciał coś kupić, nie musiał czekać na okazje do wymiany towarów. Szedł z odpowiednią karteczką do sprzedawcy i kupował to co chciał. Po pewnym czasie znikły karteczki z napisami CIASTKO, CIEPŁE GACIE czy NOCNIK a pojawił się tylko jeden rodzaj karteczek z cyferką, która oznaczała cenę. I tak ciastko można było kupić za taką jedną nową karteczkę, konia za sto karteczek a nowe majtki kosztowały dwie takie karteczki. I tak powstały pieniądze. Teraz już wiecie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

travelman, dodano 18.10.2014 21:25

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.